

OKUPACYJNE WSPOMNIENIA

Wieś Gałki Gielniowskie leży w Górach Świętokrzyskich, pod lasami przysuskimi. Przed 1939 r. chłopci ze wsi pracowali jako robotnicy leśni. Zarobki były marne, dniówka wynosiła 1 zł 50 gr. Gospodarstwa były niewielkie. Kilku gospodarzy posiadało po 3 hektary, jednak najczęściej było gospodarstw liczących po jednym hektarze i po pół hektara (50 arów). Mój ojciec posiadał 50 arów. Musiał szukać zarobku, aby wyżywić i ubrać rodzinę. Była mamusia i ja z siostrą.

Gdy miałam 8 lat, pomagałam tatusiowi, który pracował w lesie. Przerzynaliśmy drzewo na szprychy do kół wozów konnych. W dniu 1 września 1939 r. wybuchła wojna. Niemieckie pociski padają na naszą wieś. Zginęło 10 osób. Jedna z matek została zabita, a półroczne dziecko ciągnęło matkę za martwą pierś. Ludzie pouciekali, a dziecko siedziało przy zmarłej matce, zakrwawionej.

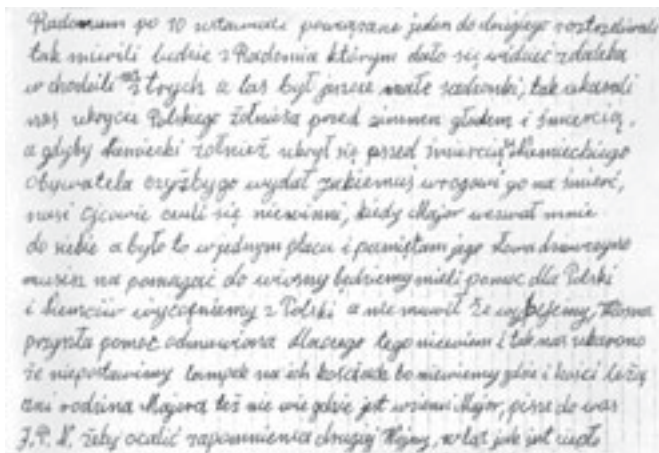
Po przejściu frontu niemieckiego nie było gdzie zarobić. Nie było nafty, nie było czym świecić, nie było cukru. Noce były długie; ciężkie były te dni. Niemcy już ustanowili swoje prawa, nałożyli na rolników kontyngenty, od hektara ze zboża i mięsa. I tak było do 1940 r.

W dniu 2 lutego 1940 r., w dzień Matki Boskiej Gromnicznej, o godzinie 10 przyjechało do wsi na saniach czterech mężczyzn. Mówią, że są kupcami i chcą zakupić świnie. Weszli do mieszkania jednego gospodarza i prosili, aby pokazał świnie. Gdy ten poszedł z nimi do stajni, obejrzeni świnie i powiedzieli: „Dobrze! Przyjdziemy jutro!”. I tak wchodzili do czterech gospodarstw, oglądali świnie i powiedzieli, że przyjadą jutro. Jeden gospodarz zauważył u kupców wojskowe spodnie i pistolety. Gospodarze, czekając tego „jutra”, ponieważ było święto, zaszli do nas. Zapaliliśmy na kominie drewniane szczapy; zagrali sobie w karty. Gospodarz, który widział u kupców zielone spodnie wojskowe, przerwał grę i mówi: „To może być Polskie Wojsko!”. Ale Sokołowski, brat tatusia (w którego domu już niedługo zamieszkał Major), odpowiedział mu ze złością: „Głupi jesteś jak but z lewej nogi! Niemcy już od września do lutego są w całej Polsce i na urzędach, wszędzie Niemcy, a ty mówisz o Polskim Wojsku!”. Posprzeczali się, następnie rozeszli się, każdy do swojego domu: czekają do jutra na dobrych kupców na świnie.

Jeszcze w tym samym dniu, 2 lutego o godzinie 12 w nocy, ktoś puka do naszego okna. Wołał: „Otwierajcie prędko, bo marznę!”. Tatuś otworzył drzwi do mieszkania. Żołnierz kazał ojcu otworzyć stajnię, żeby wprowadzić dwa konie. Jak się później okazało, były to konie Majora Hubala i jego adiutanta. Żołnierz odszedł, a tatuś nie spał do rana.

Rano w niedzielę dnia 3 lutego wyszłam z wiaderkiem po wodę. Patrzę, a przed domem tatusiowego brata stoi Major i kilku oficerów. Major dojrzał mnie i mówi: „Dziewczyno, chodź no do mnie!”. Przestraszyłam się, jednak podeszłam bliżej. „Nie bój się! – mówi Major. – Będiesz nam prała bieliznę. Może nam kupisz gdzie masła? Ale nie mów dla kogo!”. Brat tatusia Adam Sokołowski przyszedł do naszego domu wystraszony i mówi: „Bracie! Co my pocznjemy? U mnie jest jakieś wojsko z majorem. Może to przebrani Niemcy za Polaków?!“.

Major patrzy na wystraszonego gospodarza i mówi do niego: „Nie bójcie się! My jesteśmy Polskie Wojsko z frontu wrześniowego. Będziemy tu do wiosny. Na wiosnę ma przyjść pomoc dla Polski!“.



Było osiemnastu żołnierzy i Major. Zamieszkali w trzech domach. Było cicho przez dwa tygodnie. Po dwóch tygodniach zaczęli przychodzić mężczyźni. Prosilili Majora, żeby ich przyjął do siebie. Major przyjmował ich. Ale z dowodami. Niektórzy przychodzili z karabinami i z granatami.

Major miał ze sobą łączniczkę Tereskę, która przewoziła meldunki do Warszawy. Gospodarze z sąsiedniej wsi Mechlin przynosili pozostałe po wrześnieowym froncie granaty i karabiny. Najwięcej przynosili: Grzegorz Skorupa z synem i Józef Wiśniewski. I zapisali się do majora.

Major kazał zawołać sołtysa. Przykazał mu, aby nigdzie nie meldował, że we wsi jest wojsko. Major uśmiechał się, bo gdyby chciał, to wszystkie chłopy wstąpiłyby do jego oddziału. Był w oddziale Majora ksiądz ps. „Mucha”. W mieszkaniu, u brata tatusia, gdzie kwaterował Major (nasze domy stały w jednym podwórzu), ksiądz rano o 10 godzinie odprawiał Mszę św. Podczas Mszy św. śpiewaliśmy z żołnierzami: „Jeszcze Polska nie zginęła” i „Boże coś Polskę przez tak liczne wieki / otaczał blaskiem potęgi i chwały, / coś ją ostaniał tarczą swej opieki, / od nieszczęść, które przygnębić ją miały. / Przed Twe ołtarze zanosim błaganie – Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie!”.

Ćwiczenia wojskowe przeprowadzali przed moim oknem, na polu. Wreszcie powstał oddział liczący około 300 osób. Zajęli na kwatery więcej niż połowę naszej wsi. Ułożyli piosenkę:

My partyzanci majora Hubali
Idziemy dziś na krwawy z Niemcem bój.
Pragnienie zemsty serca nasze pali,
Niestraszny nam bombowców wroga rój...

Tak było do połowy marca. 13 marca 1940 r. przyjechał do naszej wsi, do kwatery Majora Hubala dowódca z Warszawy. Zawiadomił go, że pomoc dla Polski została przez zachodnich sojuszników odmówiona. Wówczas zrozpaczony Major wyprowadził oddział w pole. Powiedział: „Mundurów nie zdejmę! Wojskowej przysięgi nie złamię! A co my, nieszczęśliwi zrobimy?!”. Wreszcie przemówił do oddziału: „Kto chce iść za mną – niech idzie! Jednak na swoją odpowiedzialność”. Więcej niż połowa oddziału rozeszła się do domów; reszta poszła za Majorem. W czasie pobytu w Gałkach Major słuchał wiadomości radiowych z zagranicy przez aparat słuchawkowy.

Tegoż samego dnia wieczorem o godzinie 9 Major zebrał resztę oddziału i wyruszył w las. Żołnierze wypuścili serię z karabinu maszynowego, następnie zaśpiewali: „Jeszcze Polska nie zginęła!”. Major nakazał sołtysowi, aby zameldował Niemcom, że było jakieś wojsko we wsi i poszło w las. Ten meldunek miał na celu uratować wieś i mieszkańców od klęski, która następnie nas spotkała. Sołtys zaraz na drugi dzień rano poszedł do gminy w Gielniowie i powiedział, co się u nas we wsi działo. Sekretarz gminy powiedział sołtysowi, żeby nikomu nie meldował i wrócił do domu.

Chłopi uchodzili ze wsi i ukrywali się. Jednak we wsi było cicho, więc wszyscy wzięli się za prace w polu.

Dnia 30 marca 1940 r. do dnia Niemcy okrążyli Gałki Gielniowskie. Nie zastali tylko dwunastu mężczyzn, którzy znajdowali się poza wsią. Najpierw ostrzelali wieś, następnie zaczęli dobijać się do domów. Wyciągali chłopów z łóżek i wpychali do stodoły stojącej pośrodku wsi. Najpierw wpełchnęli całą rodzinę Sokołowskich, u których kwaterował Major. Weszli do naszego mieszkania gestapowcy. Najpierw tatusia wyprowadzili na podwórkę, później mamusię Julię. Bili wszystkich kolbami i pytali ze złością, dlaczego nie meldowaliśmy do Niemców, że u nas mieszkał dowódca „bandy”. Mnie na razie gestapowcy zostawili w domu. Po chwili weszli do mieszkania dwaj gestapowcy i jeden tłumacz. Nakazali mi rozebrać się. Gestapowiec przyłożył mi do pleców pistolet i pyta, dlaczego nie meldowałam, że mieszka tu dowódca bandy. Odpowiedziałam, że nie znałam dowódcy. Wówczas uderzył mnie kolbą. Upadłam. Podniósł mnie z ziemi tłumacz; zdjął z siebie niemiecki płaszcz. „A mnie znasz?” – zapytał. Był to jeden z byłych żołnierzy Majora. Powiedział: „To ty prałaś kalesony Majorowi, a mówisz, że go nie znasz! Będziesz tłumaczyć się gdzie indziej!”. Zabrali mnie i tatusia do stodoły, w której już byli mężczyźni z całej wsi. Mamusię pobili gestapowcy na podwórku. Przy stodole został tylko jeden żołnierz niemiecki, inni gestapowcy poszli na wieś za chłopami.

W tym momencie przyprowadzili z sąsiedniej wsi Mechlin 23 chłopów. Wprowadzili ich do tej samej stodoły. Za chłopami z Mechlina, każda za swoim, biegły żony z różańcami. Podawały ubrania, jedzenie. Niemiec odpowiadał, że to niepotrzebne. Zaczął się płacz. Wówczas ja wmieszałam się w tę grupkę płaczących kobiet i dzięki temu ocalałam.

Niemcy wyprowadzili chłopów ze stodoły, ustawili ich czwórkami i przez pola doprowadzili ich do Gielniowa, do samochodów. Wszystkich zawieźli do więzienia w Radomiu. Wraz z chłopami zabrana była do więzienia w Radomiu nauczycielka, która uczyła dzieci w szkole w Gałkach. Widziała, jak ich mordowali i bili podczas przesłuchań.

Następnie wszystkich przewieźli do miejscowości Firlej za Radomiem. Tam ich rozstrzelano. Nie wiemy, w którym grobie ich zakopano.

W dniu 11 kwietnia 1940 r. Niemcy ponownie okrążyli naszą wieś. Zastali w domach i zabrali 12 chłopców i mężczyzn w wieku od 14 do 60 lat. Wszystkich wyprowadzili za wieś, związali jednym sznurem i zastrzelili. Wszystkich zakopali, że nawet nie było widać. Następnie spalili całą wieś doszczętnie; nawet mury porozwalali granatami.

Matki z dziećmi rozeszły się po sąsiednich wsiach. A dla mnie nieszczęśliwej nie było miejsca, bo ludzie bali się mnie przetrzymywać. Byłam u Niemców na liście do aresztowania. W czasie lata uchodziłam do lasu; przechowywał mnie Skorupa.

Po Hubalczykach nie było śladu! Jednak Niemcy przez całe lato przyjeżdżali do wsi w poszukiwaniu partyzantów. Jednego razu usnęłam w lesie pod jodłą. W tym momencie podeszła do mnie mała sarenka. Powąchała mnie, a ja przeleżałam się, że już mnie Niemiec trzyma.

Kiedy już Niemcy przestali przyjeżdżać na obławy, matki starały się u niemieckiego starosty o zezwolenie, aby mogły ponownie zamieszkać we wsi na swoich placach. Niemcy zezwolili, pod warunkiem że nikt nie będzie budował mieszkań; a tu gdzie mieszkał Major, ma być zupełna pustka.

Matki postawiły z kamienia obórki, w których zamieszkały po dwie i trzy rodziny; tak mieszkały wraz z dziećmi do 1943 r.

W sąsiedniej wsi Stefanów, w lesie, znów powstała partyzantka pod dowództwem „Wichra”. Duży oddział partyzancki zakwaterował się w Gałkach, pomimo że Niemcy już w 1940 r. zapowiedzieli, że jeśli się powtórzy banda, to marny los spotka wszystkich mieszkańców. I znów wszyscy drżeli ze strachu.

25 września 1944 r. byli znów w naszej wsi partyzanci. Niemcy nad wsią przeprowadzili wywiad samolotami i w tym dniu podeszli do dnia od szosy ze strony Gielniowa. Ze wszystkich stron wieś obstawili działami i ruszyli na obławę. Partyzanci zaczęli odstrzeliwać się Niemcom. Powstał wielki bój. Wszyscy ze wsi uciekliśmy do lasu, kryjąc się w najgęściejszych krzakach. Niemcy znów spalili w Gałkach wszystko, co zdołaliśmy wybudować.

Od tej pory aż do stycznia 1945 r. Niemcy prawie codziennie robili obławy na naszą wieś i przeczesywali pobliskie lasy; nie dali pojawić się partyzantom.

24 grudnia 1944 r., w wigilię Bożego Narodzenia, Niemcy złapali rannego partyzanta. Zaprowadzili go do sąsiedniej wsi Mechlin. Wprowadzili go do mieszkania, następnie postawili go w oknie. Całą naszą wieś tam zagnali, nakazali rannemu partyzantowi, aby rozpoznawał; kto dawał mu jeść i u kogo przebywał. A był wówczas duży śnieg i mróz.

Partyzant nikogo nie wydał. Wszystkich nas trzymali na podwórzu i doprowadzili do okna; trzymali nas od rana do południa, mimo że wielu ludzi nie miało cieplejszego ubrania, a niektórzy byli prawie boso.

W dniu 25 września 1944 r., gdy trwał w naszej wsi bój Niemców z partyzantami, uciekła do lasu i moja siostra z trojgiem dzieci. Zapomniała jednak wziąć chleba dla dzieci. Zostawiła je w krzakach i poszła do domu po chleb. Tymczasem dzieci uciekły w las, z partyzantami. Starsza dziewczynka miała 7 lat, druga 5 lat, a najmłodsza 2 i pół roku. Siostra pobiegła z chlebem w las – a dziewczynek ani śladu. Partyzanci przeszli w las przysuski, dzieci nie ma! Niemcy krążą wokół lasu, strzelają z samolotów na las, a od strony Kamiennej Woli lecą kule z dział. Nie było mowy o przeżyciu tego strasznego dnia.

Jednak przeżyliśmy! Siostra chciała odebrać sobie życie. Krzyczała w rozpacz: „Męża zabili Niemcy! Teraz nie mam i dzieci!”. Chodziliśmy przez trzy dni po lesie i poszukiwaliśmy dzieci. Nikt ich nie widział.

Tymczasem w nocy dzieci wyszły z lasu i poszły do wsi odległej o 12 kilometrów od Gałek. Najstarsza dziewczynka powiedziała ludziom, skąd pochodzą i jak się nazywają. Ludzie zaopiekowali się dziećmi, a czwartego dnia poszukiwań dowieźli je do wsi leżącej blisko Gałek; do samych Gałek bali się podjechać. Gdy dowiedzieliśmy się od ludzi, że dzieci są bezpieczne i blisko domu, siostra przyszła do przytomności.

W czasie boju w dniu 25 września 1944 r. ginęli Niemcy i partyzanci. Zginęła wówczas jedna matka z Mechlina; pozostało czworo małych dzieci bez ojca i matki.

I tak płynęły krwawe dni do stycznia 1945 r. W dniu 6 stycznia Rosjanie weszli do naszej wsi. Na drugi dzień, w dniu 7 stycznia, w odległym o 3 kilometry Gielniowie rozpoczął się bój pomiędzy Niemcami i Rosjanami, który trwał od dwóch do trzech godzin. Widać było tylko dym i ogień. Zwyciężyli Rosjanie i poszli dalej na zachód. Po tym boju pozostały zniszczone i spalone samochody i niezliczona ilość trupów.

(przepisał z rękopisu autorki Tadeusz Janduta, Końskie)